

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa, 5 maja 1946 r.



CIV 9013

Nr. 17 (23)

Zofia Kossak

PRZYBYCIE*)

Uczucia, ożywiające transport, opuszczający Pawiak, (oddział kobiecy, Serbia) w dniu 5 października 1943 roku, były bardzo różne. Kobiety o ciężkich grzechach politycznych, wielokrotnie katowane, nie spodziewające się niczego innego, jak „rozwałki”, nie posiadały się z radości. Tylekroć widziały się już w myślach wyprowadzane w ruiny ghetta, z plastrem na ustach, tłumiącym okrzyk buntu i wolności!... Dla nich transport oznaczał odroczenie wyroku, przedłużenie życia o parę tygodni, może miesięcy, kto wie, może jeszcze dłużej? Mniejsza o to, dokąd powiozą skoro nie pod ścianę. Inne trwały w powszechnie wówczas panującej złudzie rychłego zakończenia wojny. Sądziły, że wyjeżdżają najwyżej na parę tygodni. A może nawet nie zdążą dojechać? Generalne opróżnienie Pawiaka i Serbii, będące w rzeczywistości przygotowaniem miejsca pod plon zamierzonych nowych łapanek, zdawało się wszystkim niezawodnym znakiem, że Niemcy rozpoczynają ewakuację Warszawy. Wycofują się. Przed kim? Zapewne oczekiwany jest desant aliantów. Kurierki i inne asy wojskowe zapewniały z miną ważną, że transport będzie na pewno po drodze odbity. Nie dojedzie nigdzie. Uśmiechały się przy tym znacząco. Ten uśmiech dodawał otuchy pozostałym. Nie brakło jednak przygnębionych sceptyczek, nie wierzących ani w rychły koniec wojny, ni w desant, ani w odbicie. Szczególnie rozpętały kobiety, schwyte przyłapano, trafem ulicznej łapanki, lub uwięzione przypadkowo, zamiast kogoś innego. Wiejskie gospodynie, wygarnięte z pod warszawskiego pociągu — właścicielka mieszkania, której sublokator okazał się niepodległościowcem, — ciotki, lub babki konspiratorów. Wszystkie one nie brały same udziału w żadnej robocie politycznej, nie chciały słyszeć o niej, lękały się panicznie wszystkiego, co trąciło nieposłuchem władzy. Ufne w tę lojalność ludziły się naiwnie, że zostaną lada dzień zwolnione. Wszakże były „niewinne”. Niektórych nie przeszkadzało dotąd ani razu. A oto mimo niewinności jadą do obozu, Bóg wie dokąd, Bóg wie na jak długo!... Stara wieśniaczka Marianna Pazur, zaarrestowana z powodu, że siedziała w kolejce w tym samym przedziale, w którym schwymano kolportera wiozącego bibułę, — jak gdyby teraz dopiero rozumiejąc co się dzieje, padła w ciężarówce do nóg eskortującym transport żandarom.

— Dobrodziejce — szlochała — jaśni panowie — ady mnie puście!... Krowa nie wydojona, chałupa nie obrządzona, zagony nie obsiane!... Dwoch synków mam na robotach w Rzeszy... Chłop koszlawy, sam nie poradzi, ady mnie puście, do brodziejcie moi!...

— Cicho, przestańcie, matko, cicho!... Sykano zewsząd, lecz ona nie zwracała na towarzyski uwagi, obejmując nadal błagalnie żółdackie buty. Niemcy śmieli się zrazu, po czym, zniercierpliwieni, kopnęli ją mocno, że padła bez tchu. Spojrzała na nich z chłopską nienawiścią ciężką, zwalistą, pozostała bez ruchu, powtarzając żalostnie półgłosem: chałupa nie obrządzona, krowa nie podojona!... Za co Jezusiku?... Za co?...

Wozy dojeżdżały do stacji. Rozpoczęto ładowanie. Transport stłoczono w dwóch towarowych wagonach, po sto dwadzieścia pięć kobiet w woze, mieszczącym

normalnie 40 osób. Było przeraźliwie ciasno, duszno, przy tym mroczno, gdyż wysoko umieszczone okienka zawarte były na głucho żelaznymi okiennicami. Zapłombowane drzwi zostawiały szparę tak wąską, że palca nie można było przesunąć. Ta wąska szpara była jedynym źródłem światła i powietrza. Więźniarki stały nieruchomo, nie mogąc się poruszyć, ściśnięte, wtulone jedna w drugą, oparte o siebie wzajemnie.

Pociąg ruszył. Przez szpary w podłodze jeły się wsączać smugi kurzu. Wagon trząsał niemiłosiernie, podskakiwał na zwirotnicach. Zbite w jedną masę zataczały się zbiorowo. Stojące bliżej drzwi wołały: Piszcie kartki!... Piszcie kartki!...

Z trudem wyciągano rękę, by dobyć z kieszeni strzępek przemyconego na Pawiak papieru. Któraś posiadała ołówek. Gryzmoliły kolejno, opierając ręce na karku sąsiadki, usiłując pisać czytelnie. Nie było to łatwym. Wagon szarpał, ręce drżały. Pisano: „Pawiak Serbia, 250 kobiet, wiozą nas nie wiem, jeszcze gdzie”. Podpis i adres. Uczciwy znalazca może kartkę pod tym adresem wysłać, może dostarczy ją gdzie należy. Pisały gorączkowo. Gotowe kartki wyrzucały przez szparę w okiennicy wtedy, gdy zwalnianie pociągu zwiastowało bliskość stacji, lub gdy podleg ruszał. W czasie postoju nie śmiały, by siedząca na dachu wagonu eskorta nie zauważyła. Pisanie i wyrzucanie kartek zdawało się wszystkim czynnością ważną i doniosłą. A nuż nasi nie odbijają ich, bo nie wiedzą dokąd transport został skierowany? Może nie wiedzą w ogóle, że opuścił Warszawę? Tym zaś, które podobnych złudzeń nie podzielały, miło było przesłać ten ostatni znak życia, niby pożegnanie rzucone z drugiego brzegu.

Pisanie kartek ledwo było ukończone, gdy podchwyciono głos kodytora obwołującego Kuluszki. Teraz miały dowiedzieć się dokąd jadą. Pociąg albo skieruje się na zachód, tzn. do Rzeszy, — albo na południe, czyli Oświęcim. Czekały z zapartym tchem. Pociąg stał długo. W wozie panował upał nie do wytrzymania. Po twarzach ściekał pot. Nogi drętwiały od stania. Pociąg ruszył. Wątpliwości krótkie. O s w i e c i m... — ...Czy na pewno, na pewno Oświęcim?... Dopytywała rozpaczliwie Danusia, przesadnie umalowana, młodzianka brunetka, o starannie wyskubanych brwiach i twarzy kobiety, lubiącej zawsze robić tak, jak chce. — Oświęcim — odpowiedział krótko „te od szpary”.

— Ale czy jesteście pewne? — Pewne. — O Boże!...

Zmarwiała w przerażeniu większym niż na widok śmierci. Przecież straciła w Oświęcimiu ojca i dwóch braci!

Wszystkie wokół milczały również. Tylko 19-letnia Litka Krajewska uśmiechała się anielsko. Nie dawno uczyniła ślub, że za ocalenie najdroższej dla niej osoby, ofiarowuje swoje własne życie. Kierunek Oświęcim brała za dowód, że Bóg ofiarę jej przyjął. Jej piękne uduchowane oczy promieniały. I wśród pozostałych po momencie przygnębienia zaczęła się optymistyczna reakcja. Nie były kobietami, dającymi się łatwo nastraszyć. Przyjaciółka i rówieśnica Litki, Marylka Witaszczyk, potrząsnęła hardo czarnymi lokami, dowodząc, że pewno nie jest tam aż tak źle. Co innego męski obóz, a co innego kobiecy. Ona czuje, wie, że będzie żyła i szczęśliwie wróci. Jest o tym przekonana. Pociągnięte jej pewnością inne, potakiwały skwapliwie. Każda słyszała, że w

Oświęcimiu tej wiosny ogromnie się poprawiło. Przypominały to sobie teraz, podkreślały. Przecież wolno posyłać paczki? A mając paczki można zawsze przetrzymać... Mecenasowa Tychniewiczowa zapewniała, że listy przychodzące od Oświęcimianek, pełne są pogody. Pisały, że ichzego im nie brak, i że są zadowolone. — Doprawdy? — Dopytywano — sama pani czytała?... — O tak, sama czytałam i to niejednokrotnie. Zresztą to jasne. Niemcy w przededniu końca nie będą tak szaleni, żeby powiększyć rejestr swych zbrodni.

— A najważniejsze — zawyrokowała Jadwiga Tymek — że cała zabawa nie potrwa dłużej niż parę tygodni. Nie ma czym się przejmować. — Słusznie!... Ten argument uspokoił wszystkie. Danusia milczała uparcie, lecz pozostałe odzyskały równowagę. Przecież wojna jest na ukończeniu. — Wytrzymamy — powtarzała Tymkówna. Była nauczycielką gimnastyki, miała silne, giętkie nogi, mocne ręce, sprężyste tułów i nie wyobrażała sobie, by cośkolwiek mogło ją z tej świetnej formy wytrącić. Ileż trudów zniosła w czasie konspiracji!... Ile niewczasów!... Co tam dla niej obóz!... Stojąca obok Zofia Kraczkiewiczówna, wielomiesięczna więźniaczka celi, potakiwała milcząco z wyrazem spokojnej, stała na rozumnej twarzy. Przetrzymany i wrócimy. Na pewno. Wsparta o nie, ledwie żywa z umoczenia Mieczysława Korompay, patrzyła obojętnie ponad głowami, zatopiona w swym nieszczęściu. Ukochaną jej córkę, śliczną jak obrazek Elżunię, — Gestapo zatorturowało na śmierć w jej oczach, w jej obecności. Od tej strasznej chwili twarz matki bolesnej zachowała szczególny, sobie tylko właściwy wyraz. Obok Thumowa spoglądała okiem wezbrany czułością na swą córkę, ładniutką Lalę. Czy to Oświęcim, czy piekło samo, ona swoje dziecko potrafiła uchronić i zabezpieczyć. Czemu matka nie dokaże?... Trzy Woźniczki, matka, ciotka i córka cisnęły się w milczeniu, spoglądając na siebie z zafaniem. Zbłotkownie ubrane panny Babińskie narzekały głośno na smród i brak powietrza. Złotoróżowa, wysportowana Dada Szylling z pomocą Urszulki Tomaszewskiej, oraz cichym współnictwem otaczających, przysiadła na podłodze i zawzięcie piłowała kozikiem deskę. Kilka-krotna recydywistka kryminalna Piotrowska ze szpetną bliźnią na brodzie, wielce dumna z tego, że ją z rozpedu zaliczono do politycznych, i że jedzie z takim morowym transportem — udzielała fachowych porad, gdzie dłużyć i jak. Przedsięwzięcie nie było aż tak beznadziejne, jak by się na pierwszy rzut oka wydawało. Wagon był holenderski, stary, deski spróchniały i cienkie.

— Jak się ściemni — pouczała recydywistka — na pierwszej stacji wywalimy dechę, i dziurę — myk pod wagon... Zaraz na brzuchu na tamtą stronę i w rowie przeleżymy aż pociąg ojedzie... Tylko na wielkiej stacji, nie na malej!...

Dada zaciskała zęby. Drzazgi przyskały spod jej fóggorączkowanych dłoni. Nie czuła bólu. Czuła tylko wstręt przed niewolą. Zaśnając jej pracę, lekarz roentgenolog Maria Werkenthińówna, sława naukowa, patrzyła w głąb siebie. Oczy miała rozumne, życzliwe, głębokie. Joanna Kunicka, profesor psychologii uśmiechała się z programowym optymizmem, który usiłowała zaszczyć wśród otoczenia. Alina Pac Pomarnańska myślała smutnie o ukochanym dziecku, pozostał wionym u obcych, a trochę o antropo-

zofii, której była wyznawczynią. Co Steiner nakazuje czynić w podobnej chwili? Staruszka Podhorodeńska o milej, łagodnej twarzy opierała się o rozdygotaną ścianę wagonu, bliska omdlenia. Hanezka Dragatówna należała do tych, które wyjazd z transportem uważały za wygraną. Była mocno obciążona i wielokrotnie badana. Z dreszczem niewygasłej grozy wspominała momenty, gdy gestapowcy zmuszali ją telefonować do matki, dyktując co miała mówić. Rewolwer przyłożony do skroni, pręt gumowy obracany niby od niechcenia w dłoni, straszne blade oczy tuż... Mów, natychmiast mów, albo zaarrestujemy matkę... Mamo, Mamusi, powiedz, jak się tamten pan nazywał, a ja będę wolna, rozumiesz, będę zaraz wolna... Wrócę do domu... Mamo, czy nie chcesz mnie ratować?

O męko niewysłowiona, skandować nienaturalnie te straszne słowa, (rewolwer wciąż przy skroni, pałka wijąca się przed oczami) słyszeć w słuchawce głos ukochany, najdroższy, pełen zrazu radości, zdumienia, potem przerażenia, rozpacz, niepokoju... Słyszeć grad słów frwożliwych niepewnych i nie móc nic odpowiedzieć, nie móc krzyknąć: Mamo, to kłamstwo! Na miłość Boską nic nie mów!... Mnie i tak nie uratujesz, a zgu. bisz jego i siebie! Och, to było straszniejsze niż bicie. Kochały się tak bezgranicznie, znały siebie tak dokładnie, że matka jednak zrozumiała i pojęła. Ten głos ochryply, to wolne skandowanie... W obozie już podobnych straszliwych rozmów nie będzie i dlatego Hanezka uśmiechała się prawie wesoło. Miała nieco skośne brwi, zachowate, bystre i dowcipne oczy, twarz łączącą wdzięk dziecienny z męzną dojrzałą wiedzą o życiu.

Lucja Charewiczowa, docent U. J. K. i polonistka Hanicka obejmowały się wpoł, a za oparcie służyła im masywna Leonia dozorcowa.

Głucha, obojętna na wszystko Mariana Pazur zastygła w zawziętej rozpacz. Każdy obrót kół odciągał ją dalej i dalej od chaty, od gospodarstwa, od życia. Sprasowane niby sardynki w puszkce, cisnęły się obok Jasia zwana Grzybkim o świetlistych oczach i czupurnej minie żołnierza „Uderzenia” — epigonka pozytywizmu, mądra intelektualistka Sadowska-Strońska, — znana społeczniczka Wanda Lewandowska, jej przyjaciółka Stanisława Kiesłowska, pozostające od trzech lat w więzieniu, — ogromna Inka Kłossowska o szczerej, poważnej twarzy. Wciśnięta pod jej pachę, dyszała malutka markiza rococo, Irena Jelnicz-Skumina, zwana przez koleżanki Bimbusiem, — Salusia Chłopek, służąca przytrzymana i torturowana za pracodawców, którzy ostrzeżeni zbiegli, — wysoka, ciemnicca Maryla Koźmińska, czarnooka Żabka Pfeferblum o twarzyczce okrągłej, niby cyrklem opisanej, — Jaga Szymborska wnikliwa kabalarka-chiromantka, — malarka Kaczyńska, spoglądając koso na poprzednią, gdyż sama także stawiała kabałę, lecz gorzej, — grupa dziewczątek: Olenka, Marzenka, Frania, Krysia, Stasia... i tyle, tyle innych. Choć należące do jednej rasy, jednego narodu, cierpiące za jedną sprawę, przedstawiały ogromną różnorodność typów. Odcinały się ostro od tła, osobowości skonstruowane, wydatne, każda posiadająca odrębną fizjonomę psychiczną. Nie było dwóch jednakowych, a było wiele niepospolitych. Ileż mocy zawierały twarde rysy, kanciasty podbró-

*) Fragment książki p. t. „Z otchłani”, która się ukaże w najbliższych tygodniach nakładem firmy Nagłowski i Drukarni Św. Wojciecha.

Dm 1591/023

dek Jasińskiej, rzemieślniczej żony, katowanej na Szucha, by wydała, gdzie jej syn. Wewnątrz dłoni, niby stygmaty krwawiły bolesne, niezagojone rany. — „To mi, cholery, przypiekały nad karbidówką“. Myślały, że dla głupiego bólu wydam swojego chłopaka...“

— Musiała pani strasznie boleć?...
— Po tym, w celi, myślałam, że z bólu zwariuję, ale na badaniu taka mnie złość, na nich wzięła, że nawet nie bardzo czułam. Nie jęknęłam ani razu, sapałam tylko. Aż się te ścierywy dziwiły...“

A wspomniana już Salusia Chłopek! Bito ją kańczugami, gumowymi pałkami. Potem kazali robić przysiady. Sądziło, że nie będzie zdolna się poruszyć. — A ja, opowiadała — „zrobiłam dwieście siedemdziesiąt pięć przysiadów i w pysk im się śmiałam!““

Godziny mijały. W wozie było coraz duszniej, coraz upalniej, smrodliwiej. Pociąg stawał na stacjach, czekał długo, ruszał, szarpał, trząsł. Nikt transportu nie odbijał, nikt z swoich nie zdawał się nimi interesować. Więzione ani się same spostrzegły, kiedy przestały oczekiwać tej ewentualności. Wydawała się ona możliwą i prawdopodobną, dopóki znajdowały się w pobliżu Warszawy, (w nieustraszonej atmosferze stolicy, dla której nie istniały niepodobieństwa). Czym dalej, tym marzenie o zbrojnej akcji na ich korzyść widziało im się dziecinne i nie-realne.

I czuły się tym gorzej. Daremnie energiczna Nulka Tetmajerowa lekarka, zachęcała je do śpiewu i dźwięcznym, czystym głosem intonowała piosenki żołnierskie. Nie były w stanie śpiewać. Dusił się. Obrzmiałe nogi nie mogły utrzymać ciężaru ciała, pragnienie udręczało. Nagle w końcu wagonu rozległy się krzyki. Co takiego? Halina Wagner czuła od dłuższego czasu, że oparta o nią Danusia, malowana czarnuszką, ciąży jej dziwnie nieznosnie. Na upominania, sarkania, nie odpowiadała. Na koniec Wagnerowa zdołała się nieco usunąć i Danusia zwałiła się na ścianę, po tym na ziemię, pod nogi towarzyszek, sztywna jak kłoda. Myślano zrazu, że zemdliała, lecz ona nie żyła. Otruła się pigułką szklanną, zaszyta w pasku, a zawierającą cjanek. Otruła się, ze strachu przed Oświęcimiem. Stojące wokół kobiety krzyczały przerażone. Wagon odpowiedział zrazu na ten krzyk niedowierzaniem. To niemożliwe! Danusia?!... Taka zawsze wesoła, zalotna, dobra, choć pusta dziewczyna!... Danusia? Nie żyje?

Mimo, że prawie wszystkie od pięciu lat ocierały się nieustannie, świadomie o śmierć — nie były jeszcze oswojone z widokiem i bliskością trupów. Martwe ciało zdawało im się czymś niezwykłym, przerażającym. Usiły odsunąć się od leżących pod ich nogami, sztywniejących zwłok, a nie mogąc tego dokonać, starały się tchórzliwie wypchnąć na swoje miejsce inne towarzyski. Zmarła zaś leżała, szeroko otwarte oczy wlepiając w dach wagonu, z wyrazem takiej grozy, jak gdyby rzeczywistość, którą ujrzała, gorsza była niż Oświęcim, przed którym z życia uciekła. Twarz była już sino-trupia i tylko uszmiłowane usta zachowywały kłamiwą czerwień, jak wargi upióra.

...Ta sama Danusia, która w celi rozweselała wszystkie towarzyski!... Danusia!...

Roztrząsano jej postępek, sądzono, potępiano, broniono... Nim ustalono jakąś opinię o fakcie, wybuchło nowe zamieszanie z okazji przetasowania wywołanego zgonem Danusi, odkryto robotę Dady. W międzyczasie zdążyła już ona przerznąć w poprzek jedną deskę. Oznaczało to czwartą część potrzebnej pracy. Dada miała ręce w bąblach i pęcherzach, lecz w duszy świetną nadzieję. Niestety, ogół nie podzielił jej zapału. Wybuchły gwałtowne protesty. Ze Niemcy zastosują odpowiedzialność zbiorową, że za ucieczkę kilku wariatów wystrzelają cały wagon. — Uciekajmy zatem wszystkie! — odpowiadała Dada zdyszana i wściekła, odgarniając jasne włosy ze spoczonej twarzy. Lecz transport ani chciał słyszeć o ucieczce. Ucieczka wydawała im się większym ryzykiem niż obóz. Nie pomogły perwazje, tłumaczenia, prośby. Zmuszono Dadę do przerwania roboty. Zabrano jej kozik. Bliska płaczu, spoglądała z nienawiścią na kobiety stojące pomiędzy nią, a wolnością. Zazdrościła Danusi. Wolny ptak, gotowa była tłuc głową o ściany klatki w bezślonej rozpacz.

Jakże pomalą czas mija! Wyjechały z Warszawy o piątej rano, teraz była zapewne 4, 5 po południu. Nie umiały ustalić, gdzie się znajdują obecnie, ile jeszcze drogi przed nimi, ile jeszcze godzin męki. Pragnienie stawało się istną męczarnią. W gardle, w płucach, pełno miały pyłu wdzierającego się przez szpary wagonu. Gorąco, brak powietrza odbierały przytomność. Głowy pękały z bólu. W każdym nerwie odczuwało się bolesnie dygotanie wagonu, nogi były opuchłe, zbrzęknięte. Wieczór zbliżał się powoli, nie przynosząc rzeźwości, ni ulgi. Wagon był nagrany słońcem, jak piec. Nieznosny smród bił z podłogi pokrytej odchodami, których nie było gdzie usuwać. Udręczone głowy ogarniał mrok i otepienie. W wyobraźni snuty się zwidły, jakie jawią się duszy ludzkiej w chwili śmierci. Półprzytomne, zaszczepione, zbite w ciasny kłęb, chwiały się bezwolnie w przód i w tył. A pociąg szedł, szedł, stawał, zmieniał szyny, cofał się, znów szedł. Nareszcie, dobrze po północy, stanął u celu. W szparach drzwi zabłysło światło, zabrzmiały charkotliwe, warzące głosy niemieckie. Zerwano pomyłki, odsunięto z łańcem wrzeczadze. Wdarła się fala chłodnego powietrza, ocuciła półomdlała.

— Alles raus!... Schnell! Schnell!!!

Witold Bienkowski

Pokutują u nas pojęcia, których prawie nikt nie usiłuje przemyśleć i zrozumieć. Dla jednych pojęcie wiary należy do niewymiernych pojęć metafizycznych, drudzy zamykają wiary w kapliczkach t. zw. „prywatnego“ życia jednostki — dla innych wiara jest czynnikiem społecznym, wyrażającym się ilością wyznawców, ich rzeczywistością lub pozorną dynamiką, albo wreszcie ich aspiracjami i osiągnięciami politycznymi.

Na katolicyzm w Polsce nikt nie macha lekceważącą ręką. Każdy widzi w nim coś, co zobaczyć pragnie. A bodaj

Stanisław Ziembicki

PO WOJNIE

Zono, twe ręce jakby jedwabników pełne, a ciepłe jak perliczki pierś,
a ja mam drętwe, tępe, korzeniste palce,
ręce zimne od lufy i lodów Narwiku,
od fiordów, wody morskiej i żółwich marmurów
i pełną mam niemieckich, rzeźących gardzieli
pięść!

Nie szepcz, suchymi nie szeleść wargami
jak chrabąszczami, lecz głośno mów, krzycz,
bo pikują złe chmury, prują się jak beton
i libię wrzących piachów na głowę mi sypią
i piorun mnie owija i ścisła jak pyton
i nie słyszę, bo uszy nadzaryły mi rude
wszy.

Blisko nie pochodź z tym białym fartuszkim,
bo kłaki błota, lepki mózg i kał
mam na sobie i potem jak koniną cuchnę,
a po mych piersiach chodzą wilgotne ropuchy,
co mi na błotach rzymskich weszły za pazuchę
i serce osłiniły, jadły je jak ciepły
mól.

Szkła nasyp w kołdrę i gruzu w poduszkę,
dymu jak pleśni, szyby w oknach zbij,
bo odkąd mi wydarto drugie moje pięści,
nie czuję, że istnieje i światłem się duszę,
rozróżnić nie potrafię twych bioder i piersi,
tylko palce twe po mnie chodzą, niczym stada
żmij.

Nie Kocham ciebie żono, miłość moja
jak pisklę ze mnie zdjął egipski sęp
i złożył, jak na skały, na zęby zabitych
i karmił ją skrżepami krwi i gęstą żółcią,
a potem ją zagryzły hieny i termity
i odtąd szarą myszą wciąż chodzi koło mnie
łęk.

Naucz mnie chodzić — ufać, mrużyć usta
i pić rumianek i brzydzić się much
i jak glistę już zdejmij ze mnie tę pogardę,
ziemią do kwiatów przesyń opierzchnięte oczy,
wyjmij mi z głowy skronie zwęglone i martwe,
bym znowu mógł się troszczyć o listek pęknięty...

tatuńciu, tatuńciu, patrz jaką mam procę
i łuk!

Z przygotowanego do druku tomu p. t. „Powroty“.

Usiłowały wyjść, ale nie mogły, gdyż odrętwiałe nogi odmawiały im posłuszeństwa. Niemcy ściągali je brutalnie w dół jak tłumoki. Leciły na ziemię z wysoko, gdyż rampy nie było. Zataczały się jak pijane. Na ostatku wyrzucono zwłoki Danusi. — Tylko jedna? — zapytał Niemiec, świecąc po kątach wagonu latarnią.

Nad polem leżała mleczna, nieprzenikliwa mgła. Gęsto umieszczone lampy rzucały w mgłę trójkątny snop światła, niby stożek, lub jasno oświetlony namiot. Niezliczone szeregi takich stożków widniały na prawo i na lewo, w przód i za torem. Silny oddział gestapowców uzbrojonych w rozpylacze i k. m. otoczył transport i pognął go drogą. Niezupełnie jeszcze przytomne, kobiety szły śpiesznie, potykając się i rozglądając wokoło. Krajobraz wydawał im się dziwny, niby księżycowy. Nigdzie ani drzewa, ani krzaka, ciemne linie baraków. Mgła, świetlne stożki. Płaskie, niskie dachy błyszczały wilgocią. Górował nad nimi wąski budynek, zwieńczony kształtem, który we mgle wydał się idącym podobny do krzyża. Osadzili, że budynek jest kaplicą i nabrały otuchy. Widocznie zmiany na lepsze, o jakich mówiono, były naprawdę poważne. Co za szczęście, że jest kaplica! W przeciwnej stronie czerniał komin, czy też wieża. Nad szczytem jej unosił się

czerwony odblask, niby luna nad wielkim piecem hutniczym. Kobiety nie wiedziały jeszcze, że to krematorium, lecz uczyniło im się czegoś straszno. Jak gdyby zobaczyły uchylone wrota piekła. Było też coś niepokojącego w samym powietrzu, mglistym, ciężkim, dławiącym. W porównaniu z dusznotą wagonu, zdawało się ono rzeźwiące, był w nim jednak jakiś nieuchwytny jad, zaduch nieokreślony.

— Czujesz? pytały jedna drugą. — Czuję. — Co to może być? Nie wiem. — Poprzedzane przez gestapowców, zataczające się ze znużenia stado szło, skręcało, mijało jedną bramę, drugą, rzędy drutów metalicznie lśniących, nowe serie baraków, aż stanęły przed nieoświetlonym budynkiem. Zwano go „przejściówką“. Była to pusta szopa bez podłogi. Klepisko lepiło się pod nogami. Eskorta wyszła, drzwi zawarto. Umęczone kobiety padły na mokrą glinę, gdzie się dało, pokotem. Zbyt znużone, by móc zasnąć, leżały patrząc w ciemność i myśląc, że oto w Oświęcimiu, że towarzysze ich nie odbili, że Danusia, która lubiła wszystko robić po swojemu, wyrwała się i, czy żałuje teraz tego co uczyniła, czy nie? I że przecie one także nie pozostaną tu długo?... Boże!... Prawda, że niedługo?!...

Zofia Kossak

Wiara Ludu

bardzo niewiele jest tych, którzy katolizmem widzą takim, jakim on jest. Stąd rodzą się trudności w przemyśleniu pojęcia wiary, jako czynnika społecznego.

Proste pytanie „czym jest wiara ludu“, nie doczeka się równie prostej odpowiedzi tak długo, jak długo pętać się będą wśród bezżytecznych akcesoriów koniunkturalnej propagandy różne powiedzonka w r dzaju: „odbierście ludowi wiary, a lud chwyci za widły“, lub „wiara tumani i ogłupia, jest wymysłem żądnych władzy księży“.

Trzeba przyjąć jako pewnik, że jedno

z katechizmowych określeń cech dobrej wiary stanowi o pełnieniu przez nią w sposób pełny właściwej roli czynnika społecznego. Określenie to mówi, że wiara musi być żywa.

I jeżeli dzisiaj woła się o rewolucję moralną, jeżeli w katolickich wskazaniach społecznych dobro wszelkich reform uzależnia się od odrodzenia moralności chrześcijańskiej — już to samo może być dowodem, że wiara ludu nie jest wiarą dostatecznie żywą, że nie wyraża się społecznie typem i stylem życia katolickiego.

Wydaje się, że czas wspomnieć nie tylko o hasłach propagandowych, powołujących się na ilość ludzi wierzących.

Byłoby słusznym zrewidować sposób społecznego życia tych ludzi, którzy się modlą.

Trudno jest bowiem zapomnieć o bezkrytycznej radości „działaczy“ katolickich za czasów okupacji, gdy na dowód wzmoczonego życia religijnego w kraju pokazywali ołtarzyki budowane na podwórzach każdego domu w Warszawie. Trudno jest również nie pomówić o lekomyślność wszystkich, którzy postulaty polityczne katolików w Polsce gotowi są argumentować przepełnionymi kościołami w dni świąteczne, lub skrupulatnym przestrzeganiem tradycji, związanej z wiarą i religią.

Takie ujmowanie zagadnienia wiary ludu jest zbyt łatwym, aby mogło być prawdziwym. Każdy przeciwnik wiary czułby się w pełni zadowolonym i miałby pełne podstawy do tego zadowolenia, gdyby mógł znaleźć uzasadnienie dla powiedzonka, że „wiara tumani i ogłupia“. Uzasadnieniem tym byłyby podwórzowe kapliczki, traktowane jak zabezpieczające fetysze — bezduszne spełnianie obowiązków religijnych w myśl słyszanych zbyt często stwierdzeń, że pójście do kościoła w niedzielę odróżnia dzień świąteczny od powszedniego, Boże Narodzenie jest cudownie miłym świętem dzieci (choinka), a Wielkanoc świętem wiosny (kotki wierzbowe i dużo słońca rozjaśniającego białego baranka wśród kolorowanych jajek).

Odpowiedź na pytanie, „czym jest wiara ludu“ w społecznej wymierności tego zagadnienia, polega na zupełnie czym innym. Zapomnijmy o folklorze (słynne procesje Bożego Ciała w Łowiczu, lub w Myszynie, na Kurpiach), zapomnijmy o statystyce (ilość katolików zapisanych w księgach stanu cywilnego), zapomnijmy nawet o tak potężnym społecznie czynnikiem, jakim jest tradycja. Pamiętajmy o trzech sprawach: a zasadach wiary, o naturalnym dążeniu każdego człowieka do posiadania norm typu najwyższego, oraz o tysiącletniej kulturze wewnętrznej Polaka, wynoszącej szczerą praktykę wiary do momentów najważniejszych: urodzin i śmierci, szczęścia i nieszczęścia, tęsknoty i dążenia.

Czym więc jest folklor? czym fetysyzm? i czym tradycjonalizm wobec istoty zagadnienia?

Życie polskie jest zespolone z wiarą. Jest to prawda. Usłyszeć można zdania najpoważniejszych przeciwników katolicyzmu, że żaden rozsądny plan działania nie może przewidywać szybkiego wykończenia narosłych przez setki lat „przywyczażeń”, religijnych. W jakim zdaniu jest coś więcej, niż szczerść. Jest w nim stwierdzenie prawdy o potędze wiary. Przeciwników katolicyzmu nie interesują jego zasady. Nie przemówi do niego nic, poza statystyką i zaobserwowanym zewnętrznym przywiązaniem do tej, jak się banalnie mówi „wiary ojców”. Przeciwnik katolicyzmu wie, że w społeczeństwie polskim istnieje tylko jeden powód poważnego i umotywowanego sprzeciwu, z którym każdy plan działania musi zasadniczo liczyć się i że tym powodem byłaby walka z tysiącletnią kulturą religijną w Polsce.

Katolikowi nie może interesować sposób rozumowania przeciwników katolicyzmu. Opieranie swego działania defensywnego na takim rozumowaniu stworzyłoby jakieś Okopy Świętej Trójcy, jakieś barykady obronne, jakieś alarmy o nadciągającym nieszczęściu i wreszcie, co najgorsze — wewnętrznie przyjęte i akceptowane twierdzenie, że zagrożenie katolicyzmu przychodzi jak nowa burza przesładowań z zewnątrz.

I katolików stać by było na nowe męczennictwa, na krzyże i płonące stosy. Piękno śmierci męczeńskiej mogłoby zrodzić fanatyzm pożądania stosu i krzyża. Uwierzono by w brak własnej winy, przeoczone by najważniejsze — że zagrożenie katolicyzmu, jako czynnika społecznego, tkwi w nim samym, wywodzi się z niedołęstwa, bezrozumu i złej woli tych katolików, którzy nie pamiętają lub nie wiedzą o najprostszym. O tym, że wiara silna i wiara prawdziwa — to wiara żywa.

Nudnym staje się ustawiczne powtarzanie o tych sprawach społecznych, dla których wiara katolików jest wiarą martwą. Nudnym jest ciągle nawoływanie do tworzenia typu katolika i katolickiego stylu życia w Polsce.

Wiemy już przecież o co chodzi. Wiemy, że reformy społeczne są pożądane i katolickim prawem społecznym uzasadnione. Wyrziliśmy kilkakrotnie na łamach naszego pisma pogląd, że w obecnej rzeczywistości reform i przemian znajdujemy dla katolicyzmu społecznego twórcze i nie ostatnie miejsce. Stwierdziliśmy również, że zapoczątkowaną rewolucję społeczną w Polsce traktujemy jako punkt zwrotny dla realizacji radykalnego programu katolików, programu, wywodzącego się z logicznego i konsekwentnego przyjęcia katolickich zasad sprawiedliwości społecznej. Wykazaliśmy również różnice, jakie dzielą katolickie pojęcie reform od dokonywanych obecnie.

Ale nie do tych spraw sprowadza się treść obecnego artykułu. Chodzi w nim o sprawę jeszcze ważniejszą. O te, które nie miną wraz z latami dokonanych reform społecznych — ale które zrodzić się muszą, aby były ogniem gorejącym i światłem jasnym na lata obecne i na lata przyszłe. Aby nie zakończyła się żadna rola społeczna katolicyzmu, aby katolicy nie krzepili w zadufaniu nawet po osiągniętych zwycięstwach, aby zagrożenie katolicyzmu widzieli zawsze we własnym niedołęstwie, własnym bezrozumie i własnej złej woli.

Martwa wiara jest złą wiarą i nie uratują jej pobożne wzdychania w przepelnionych kościołach, nie poprawią podwórzowe kapliczki, mające strzec przed ogniem i bombą. Wiara martwa to tal. mud formulek religijnych, to owa piekielna letniość, od której Bóg odwraca oczy.

Wołanie o ludzi gorących, o ludzi płomiennych, o apostołów prawdy życia musi być treścią istotną wszelkich inwokacji. Napisano niedawno, napisano bardzo uroczenie, że nie ma zagadnienia, które by mogło być obce człowiekowi wierzącemu. Napisano, że w najgorszych warunkach politycznych człowiek wierzący znajduje swoje miejsce. Jeśli nie twórczo społecznie — to twórczo wewnętrznie.

Nie ma życia twórczego wewnętrznie, jeśli nie jest w skutkach twórczym społecznie. I nie ma innego miejsca dla człowieka wierzącego w rzeczywistość społecznej i politycznej, jak tylko miejsce czynne i twórcze na miarę maksimum jego możliwości.

Wiara ludu jest uznawany przez wszystkich czynnikiem społecznym. I jeśli nie ma stać się, tak, jak przeciwnicy katolicyzmu sądzą, że wiara zamrtwieje, strupieszeje i zamrze w atmosferze wielkich przemian, w wieku rewolucji społecznej — wiara ludu musi się stać wiarą żywą, czułą, reagującą na każde zjawisko, obecną w każdym wypadku i twórczą na miarę wielkości zasad, które praktycznie i społecznie ma reprezentować.

Jeśli nie znajdują się ludzie mówiący językiem dziwnym i trudnym, jeśli nie będzie to mowa wołająca o wielką rewolucję moralną w katolicyzmie — nadejdzie czas zbyt późnego opamiętania.

I bodaj, że słowa powyższe nie należą do typu słów katastroficznych. Bo chociaż wielu działaczom katolickim imponują dotąd przepelnione świątynie, chociaż z przyzwyczajenia mówią, że nie jest aż tak źle — w samotnej rozmowie sam na sam z sobą, trwożyć ich musi odpowiedzialność największa, że sami nie są ludźmi gorącymi, ludźmi płomiennymi, apostołami żywej wiary w prawdziwym, konsekwentnym życiu z wiary.

Artykuł niniejszy posiada wiele cech dydaktycznych. Czytelnicy tego nie lubią. To nuży. Woleliby, bo o to proszą, jakieś rozważania polityczne, jakieś przewidywania na temat wyborów, coś — jak mówią — bliższego, konkretniejszego. Uważają bowiem, że zagadnienia wiary, moralności, katolicyzmu, jeśli nie mają smaczku politycznej opozycji lub chociażby ostrej polemiki z marksistami, są tak odległe od zagadnień chwili obecnej, że pisać o nich nie warto. Niech o tym księża mówią z ambon. Niech katolik westchnie sobie na ten temat podczas niedzielnej bytności w kościele i niech zapomni natychmiast po wyjściu.

Nie trzeba rzucać gromów na ludzi tak myślących. Sawonarolizm nie należy do zadań obecnych, choć był w istocie swojej gorący i płomienny.

Ks. Jan Salamucha

Czas, przestrzeń i wieczność*

W starym podaniu greckim Chronos (czas) jest na tyle potężny, że jest on ojcem samego ojca bogów, Zeusa; a jest zarazem tak potworny, że własne dzieci zjada.

W rozwoju myśli ludzkiej czas i przestrzeń taką odegrały rolę, że — personifikując w imaginacji te pojęcia — można by im jeszcze potworniejszą zbrodnię przypisać: pożerały one własnych rodziców, t. j. ludzi, którzy są konstruktorami tych pojęć. Zjadały one ludzi nie tylko w zwykłym sensie metaforycznym — żąc czasu wszystko gryzie, a pokonywanie

*) Fragment książki p. t.: „Styl filozofii chrześcijańskiej”.

Jerzy Zagórski

BIAŁA KSIĄŻKA

Biała książka, a na niej w czarnej ramie na żółtym tle czarne nazwisko autora i czarny tytuł: Jacques Maritain „Nauka i Mądrość”. Nim zajrzymy do wnętrza książki, porównajmy proporcje liter, które się składają na owe pięć wyrazów uwewnętrznionych na okładce.

Najmniejszy jest autor, jest mniejszy nawet od łącznika i, oczywiście wzrostem, bo szerokością rzeczy tu się w ogóle nie zajmujemy. Autor jest drobny w porównaniu z tematem. Dwa wyrazy: „Nauka” i „Mądrość” przerosły go kilka-krotnie, ale i one nie są sobie równe. Nauką jest trzy razy większa od mądrości. Trzy razy więcej przestrzeni zajęła na karcie tytułowej dzieła i trzy razy więcej farby drukarskiej na nią zużyto. Trzy razy więcej nauki zużył autor, aby trzy razy mniejszą od włożonej nauki uzyskać mądrość.

Czyż nie jest to miarą wszystkich naszych wysiłków, które jednak są konieczne, aby przewyższyć siebie? Zanurzone w rozpuszczonym wapnie nieba pędzle krakowskich wieź coś mogły by także powiedzieć na ten temat.

Świat w tej porze — mamy koniec lutego — jest jak biała książka, w której ktoś zapisuje coraz więcej czarnych hieroglifów, które wyobrażają drzewa, ludzi, domy, psy, ławki płoty, okna. Delikatna żółtość, przebijająca się przez nawarstwienia mgły i chmur, a także ściekająca z dyskretnie otynkowanych domów, służy tylko do tego, aby lepiej podkreślić zasadniczą biel ziemi, o której mogło by się zapomnieć bez owego podkreślenia.

Czarne hieroglify owe nie są pismem egipskim. Tyle samo mają w sobie z run skandynawskich, co z klinów Azji. A często, nazbyt często rozrastają się w gwar porzrzuconych, splełanych, ponakładanych na siebie, wbrew swej naturze, liter chińskich.

Nam trzeba innego typu fanatyków rozumiejących jedyną realną społecznie prawdę, że o sile społecznej wiary ludu stanowi żywa, konsekwentna w uczynkach, wszechstronnie obecna wiara wyznawców.

Aby katolicka doktryna społeczna nie pozostała pięknym, idealnie dobrą zażytkiem w historii doktryn społecznych.

Powiedziano tutaj wiele o fetysyzmie, talmudyzmie i tradycjonalizmie katolików polskich. Jest obowiązkiem stwierdzić, że nie od dzisiaj przenika społeczeństwo katolickie wielki prąd odrodzenia. Gdyż jeśli można stwierdzić, że jest możliwość pogodzenia „zdrowej rewolucyjnej treści czasu” z „wiarą ludu” dowodzi to przede wszystkim posiadania pewności o istnieniu w katolicyzmie społecznym wielkiej dynamicznej siły odrodzenia.

Siła ta istnieje. Jest nią przede wszystkim zrozumienie konieczności reform. Są najbardziej autorytatywne oświadczenia o potrzebie zmiany stosunków społecznych, jest wreszcie, nie od dziś, a od początku istnienia chrześcijaństwa, nakaz moralnego personalnie i moralnego społecznie życia katolików.

I jeśli dzisiaj potrzebne jest wołanie o rewolucję moralną, o rewolucję odrodzenia katolików — to wynika ono ze specjalnej, gwałtownej potrzeby chwili. Aby rewolucje polityczne, aby przemiany ustrojowe i społeczne nie zastały katolików medytujących nad drobiazgami, niewspółmiernymi w stosunku do spraw istotnych. Aby opory nie spóźniły marszu ku nowej, lepszej rzeczywistości, aby nieobecność dyktowana taktyką nie spowodowała ocknięcia się zapóźno.

Istnieją sprawy, tak ważne, o których milczeć nie wolno, choćby tysiące przeszkód o charakterze koniunkturalno-politycznym zamykało usta. Zachodzą procesy przekształcające pojęcia i normy moralne, procesy jak gdyby sankcjonowane z powodu milczenia katolików.

Nas nie interesuje w tym artykule, czy młodociani mordercy prokuratora Martiniego w Krakowie popełnili zbrodnię w chęci zysku, czy z pobudek politycznych. Nie interesują nas również tym razem pobudki polityczne mnożących się morderstw i grabieży. Interesuje nas nato-

miast sam fakt istnienia morderców i brak reakcji ze strony katolików. Więcej: — interesuje nas tępota, z jaką bodaj dla każdego najzwyczajniejszego, ordynarnego bandyty poszukuje się „politycznych usprawiedliwień”, jakże chętnie daje się posłuch plotce „politycznej”, że był to „człowiek z lasu”. Tak, to był człowiek z lasu. Ale jak nie wszystkich „ludzi z lasu” nazwiemy bandytami, bo jest wśród nich wielu straconców, wielu otumanionych i wielu aż do tej chwili politycznie błądzących, a z natury szlachetnych i prawych — tak domagamy się jasnego, wyraźnego sądu moralnego dla tych, którzy mordują i którzy grabią. Aby nie miał prawa powiedzieć o nas nikt, że z pobudek niższego rzędu zaprzepaszczyliśmy katolickie zasady moralne. Aby wiara ludu nie stawała się coraz bardziej martwą.

W przemianach społecznych wiara i płynące z niej zasady wyznaczają katolikom jedyną rolę. Walki o sprawiedliwość społeczną zgodną z katolickimi zasadami, walki radykalnej i bezkompromisowej. Rolą zaś wszystkich rozumiejących zdrową rewolucyjną treść czasu jest przede wszystkim właściwe przemyślenie i rozumienie istoty wiary ludu. Lud błądzi, lud nie jest konsekwentny, lud buduje kapliczki, lud modli się od niedzieli i święta — ale lud ze szczerą i żywą wiarą łączy swe najdonioślejsze i przelomowe chwile życia.

I bodaj w chwili obecnej katolicki naród polski stoi przed swym najbardziej poważnym zagadnieniem. Przed decyzją stanięcia w pierwszym szeregu walczących o nowe radykalnie przekształcone stosunki społeczne. Wiara i jej zasady pokażą ludowi jego miejsce w zdrowej rewolucyjnej treści czasu. I w epoce wyraźnych dosadnych stwierdzeń „tak” lub „nie” lud napewno wypowie swoje „tak”. Bo wiara nie jest instynktem i nie jest glicyym wymysłem. Jest rzeczywistością taką samą, jak wiedza. Z tą różnicą, że normy życia podług wiary przekraczają wszelkie pojęcia ludzi poługujących się wyobrażeniem szczęścia ułomnym i nie wybiegającym poza doczesność rozumem.

Witold Bienkowski

Jęciu. Jest to coś ciągłego, jednorodnego, trójwymiarowego — przestrzeń nie wpływa na żadne zmiany w niej zachodzące. Przestrzeń jest uważana za coś ciągłego, bo nie ma luk — sądzimy, że między dwoma nieprzylegającymi do siebie fragmentami przestrzeni znajdzie się zawsze fragment trzeci, który je łączy. Właściwie takie pojmowanie ciągłości jest niewystarczające, tak uporządkowany zbiór punktów byłby zbiorem gęstym, ale nie byłby jeszcze zbiorem ciągłym. Zbiór ciągły musi spełniać postulat Dedekinda: żaden przekrój nie jest ani skokiem, ani luką. Próby takiego uściślenia pojęcia ciągłości mamy zresztą już u Arystotelesa (Phys. V.327 a. 11, VI.1.231 a. 22), ale one ani do nauki średniowiecznej, ani do świadomości zbiorowej nie weszły.

Przestrzeń jest czymś jednorodnym, bo sądzimy, że dwa dowolne fragmenty przestrzeni różnią się tylko rozmieszczeniem i niczym więcej. Przestrzeń jest trójwymiarowa, bo sądzimy, że trzeba i wystarczy podać trzy odpowiednie informacje, żeby określić położenie dowolnego przedmiotu w przestrzeni. Na koniec przypisujemy temu dziwnemu tworowi zupełną obojętność na to wszystko, co się wewnątrz niego dzieje! przestrzeń wszystko obejmuje, bo wszystkie przedmioty materialne istnieją w przestrzeni, ale przestrzeń nie wpływa na żadne zmiany i żadnych zmian nie wywołuje; jeżeli po przeniesieniu termometru z za okna do wnętrza pokoju zauważymy podniesienie się słupka rtęci i ktoś zechce w nas wma- wiać, że samo przemieszczenie termometru w przestrzeni wywołało tę zmianę, to wcale nie mamy ochoty temu wierzyć i szukamy gdzieindziej przyczyn zauważonej zmiany, widzimy je np. w wyższej niż na zewnątrz temperaturze pokoju.

Wystarczyło jasno wydobyć na wierzchu te, zwykle trochę jak gdyby przez mgłę widziane, cechy przestrzeni i wyraźnie je

zestawić, żeby zauważyć, że istnienia takiej przestrzeni ani doświadczalnie nie stwierdzamy, ani nawet drogą okrężną, przy pomocy rozumowania wykazać nie możemy. Doświadczalnie stwierdzamy istnienie przedmiotów rozciągłych, które możemy mierzyć metrem; jeżeli za przestrzeń zechcemy uważać sumę wszystkich przedmiotów rozciągłych, to musielibyśmy wtedy zrezygnować z jednorodności tak pojętej przestrzeni, a i sprawa ciągłości nie byłaby wyraźna; istnienia przestrzeni jednorodnej i ciągłej doświadczalnie nie stwierdzamy. Atoli jeżeli nie jesteśmy materialistami, to uznajemy przecież istnienie nawet takich przedmiotów, których doświadczalnie nie oglądamy... A i materialista, jeżeli po powrocie do domu zauważy w swoim pokoju brak pewnych rzeczy, które wychodząc na pewno tam pozostawił, to będzie przekonany, że ktoś podczas jego nieobecności był w jego pokoju, chociaż tego kogoś w pokoju swym nie widział — z doświadczalnie stwierdzanego istnienia pewnych rzeczy wnioskujemy o istnieniu, teraźniejszym czy przeszłym, pewnych innych rzeczy, których nie widzimy. Tak, ale w obydwu wspomnianych wypadkach na istnienie pewnych niewidzianych i niewidzialnych przedmiotów naprowadzają nas oglądane skutki ich istnienia. Tymczasem jeżeli chodzi o przestrzeń, to z góry wykluczamy możliwość jakiegokolwiek jej śladów, bo sądzimy, że nie wywiera ona żadnego wpływu na przedmioty w niej istniejące.

Jeżeli przestrzeni ani doświadczalnie nie znajdujemy, ani do jej istnienia przez żadne rozumowanie dojść nie możemy, to pozostaje tylko jedno rozwiązanie względem tego zagadkowego tworu. **Przeźren jest pewną konstrukcją pojęciową, wymyśloną i rozbudowaną przez ludzi jako narzędzie pojęciowe do opisywania przedmiotów rozciągłych.**

Pojęcie przestrzeni zostało rozwinięte powoli i na wpał świadomości; w rezultacie, szczególnie w postaci rozbudowanej przez geometrię euklidesową, stało się tyraniem własnych swoich konstruktorów. Kartezjusz nawet dla duszy ludzkiej szukał miejsca we wszystkim obejmującej przestrzeni i znalazł je w szczytnie mógzowej (corpus pineale). Kant orientował się, że przestrzeń w rzeczywistości nie istnieje, ale uważał, że tyraniu przestrzeni euklidesowej nad umysłem ludzkim obalić się nie da — i uznał przestrzeń za tzw. formę aprioryczną.

2. RZECZYWIŚCIÓSC ZASU

Co to jest czas w popularnym ujęciu. Jest to coś ciągłego i jednorodnego, jak przestrzeń; podobnie jak przestrzeń czas nie wpływa na zmiany, zachodzące w czasie — jeżeli się starzejemy, to nie zęb czasu nas gryzie, to tkanki nasze przez funkcjonowanie stopniowo się zużywają; w odróżnieniu od przestrzeni czas ma być tworem jednowymiarowym, bo przy pomocy jednej i tylko jednej informacji określamy rozmieszczenie danego faktu w czasie.

I znowu na temat tak pojętego czasu można powtórzyć te wszystkie uwagi, które wypowiedzieliśmy przedtem, na temat przestrzeni. Co najwyżej warto dodać, że czas jest to twór jeszcze bardziej fantastyczny — przez swoją nieuchwytną płynność. Przeszłości nie ma, bo już minęła; przyszłości nie ma, bo dopiero będzie; teraźniejszość jest nieuchwytną granicą między ciągle narastającą przeszłością i zmniejszającą się przyszłością.

Czas, jest to pewna konstrukcja pojęciowa, wymyślona i rozbudowana przez ludzi, jako narzędzie pojęciowe do opisywania rzeczy zmiennych. — I znowu można by pisać o tyraniu czasu i znowu Kant tę tyranię z rezygnacją uznał, nazywając czas formą aprioryczną.

3. Z HISTORII WALK PRZECIWKO TYRANI ZASU I PRZESTRZENI

Rolę decydującą w walce z tyranią czasu i przestrzeni odegrały dwa zjawiska: geometria nieeuklidesowa i fizyczna teoria względności.

Przez lat przeszło 2000 jedynym, znanym systemem geometrycznym był system Euklidesa. W tym długim okresie nikomu nawet nie przychodziło do głowy, że można zbudować inną poprawną geometrię; geometria nieeuklidesowa pojawiła się nagle, niespodziewanie, wbrew zamierzeniom swoich własnych twórców, na tle pewnych badań szczegółowych nad geometrią euklidesową.

Na gruncie tradycyjnej geometrii zrodziło się podejrzenie, że aksjomat o ró-

wnoległych (przez punkt, leżący na zewnątrz prostej, na płaszczyźnie, wyznaczonej przez ten punkt i tę prostą, można przeprowadzić jedną i tylko jedną równoległą do tej prostej, nie jest niezależny od pozostałych aksjomatów, tzn., że da się on z pozostałych aksjomatów wyprowadzić. Wobec tego podjęto badania w tym kierunku; mamy wyraźne dowody, że prowadził takie badania już Gerolamo Saccheri, jezuita (1667 — 1733). Wszelkie jednak próby wyprowadzenia aksjomatu o równoległych z pozostałych aksjomatów Euklidesa były ciągle bezowocne, aż dopiero matematyk rosyjski, Łobaczewskij (1793 — 1856) wpadł na sposób zastosowania nowej metody. Jeżeli — rozumował — aksjomat o równoległych (nazwijmy go aksjomatem A1) wynika z pozostałych aksjomatów (nazwijmy zbiór pozostałych aksjomatów zbiorem Ar), ty system, oparty na zbiorze Ar i negacji A1, jest systemem sprzecznym; ponieważ tak długo nie udajesię wyprowadzić A1 z Ar, wobec tego należy sprawdzić, czy system oparty na Ar i negacji A1 jest systemem sprzecznym, jeżeli się okaże, że nowy system nie jest systemem sprzecznym, to będziemy mieli dowód, że A1 nie wynika z Ar i długie, mozolne badania będą definitywnie zakończone, Łobaczewskij oparł swój próbną system na zbiorze Ar i aksjomacie mocniejszym od negacji A1: przez punkt, leżący na zewnątrz prostej, na płaszczyźnie, wyznaczonej przez ten punkt i tę prostą, można przeprowadzić nieskończenie wiele prostych, równoległych do danej prostej. Ten próbną system okazał się systemem niesprzecznym, chociaż był systemem innym od dotychczasowej geometrii euklidesowej (np. w tym nowym systemie suma kątów wewnętrznych w trójkącie płaskim jest mniejsza od dwóch kątów prostych, a ta różnica jest proporcjonalna do powierzchni trójkąta).

Kiedy się okazało, że można bez popadnięcia w sprzeczność zamienić aksjomat o równoległych na inny, zaczęto podobne operacje przeprowadzać i na innych aksjomatach Euklidesa, zamykający przestrzeń w trzech wymiarach zastąpiono aksjomatem, zamykającym przestrzeń w czterech wymiarach, a potem z kolei zwiększono liczbę wymiarów aż do ilości n , gdzie n jest liczbą dowolnie wielką, byle całkowitą.

W ten sposób powstały geometrie nieeuklidesowe i przestrzenie nieeuklidesowe. Żaden z tych systemów nie jest doświadczalnie wywracalny; więc wszystkie są pod względem doświadczalnym równouprawnione. Można dysputować na temat intuicyjności i stosowalności fizycznej poszczególnych systemów, ale to są już sprawy dla nas tutaj uboczne. Istnienie wielu geometrii i wielu geometrycznie rozbudowanych przestrzeni otworzyło nam wyraźnie oczy na fakt, że przestrzeń jest tylko konstrukcją pojęciową i można tę konstrukcję, konsekwentnie i bezsprzecznie na różne sposoby rozbudowywać.

Podobnie jak tyranię przestrzeni podważyły i obaliły geometrie nieeuklidesowe, tak tyranię czasu zachwiała fizyczna teoria względności i ona, zresztą, powstała do pewnego stopnia niespodziewanie, na tle pewnych badań nad zjawiskami świetlnymi, prowadzonych na gruncie fizyki klasycznej. Trudno tu wnikać w szczegóły powstania teorii względności, a jeszcze trudniej — w jej treść, brak na to miejsca i trzeba by wprowadzić dość skomplikowaną aparaturę matematyczną. Wystarczy tu zaznaczyć, że tak, jak w fizyce klasycznej pomiary przestrzenne były uzależnione od układu współrzędnych przestrzennych, tak tutaj od układu współrzędnych przestrzennych są zależne i pomiary czasowe. Pojęcie czasu straciło swoją sztywność, w teorii względności operujemy wieloma, różnymi czasami.

Jeszcze na tle tych nowych osiągnięć panuje pewne zamieszanie, bo trudno się wywołać spod wielowiekowych sugestii, ale dotychczasowa tyrania czasu i przestrzeni jest już bezapelacyjnie podważona i z poprzednią siłą na pewno już nie wróci.

4. STANOWISKO ŚW. TOMASZA

Przeźren jest rozmiarem rozciągłości rzeczy (dimensio extensionis rerum). Dla czasu przyjmuje św. Tomasz definicję Arystotelesowską: czas jest miarą zmian według następowania (numerus motus secundum prius et posterius).

Maruta, Stobiecka

DZWONY 3 MAJA

Rozdzwoniły się dzwony 3 maja
(nie wiesz czy wiatr zielony czy kłosy grają?)
i każdy kłos z osobna wydzwaniania pacierze —
to legli w boju żołnierze —
Módl się za nami Łaski Pełna,
przez ciężkie przeszlim posterunki
wieczysta życiem, nieśmiertelna,
niesiemy Tobie twarde żołnierskie meldunki,
my gwardia prosta, bezimienna,
a jednak w świecie sławna z czynów!
Jaśniały Twe kapliczki w kwiatach,
gdy nad głowami ponał dom —
na barykadach — przeciw czołgom
szliśmy z Twoim ryngrafem w kanonadach bomb.
— Wiatr siał zdaleka pocałunki —
Wtedy wśród świtu promiennych rubinów
zajaśniała Madonna z Polonii Grotgiera,
dla której Polak umierał —
We wszystkich kaźniach, w Oświęcimiu
w Dachau i w Wawrze i w Majdanku
i w świecie, hen, za granicami.

A słońce wzeszło w maków wianku,
pola skłoniły się łanami,
żeby wznieść flagę zórz i mgły
tę wywalczoną
ofiara krwi.

Wtedy na warcie staje jak żołnierz prosty — czas
— stary salutuje las
— pełen powagi apostołskiej —
gdy idzie w glorii i w paradzie
na tej wojskowej defiladzie
Królowa Korony Polskiej.

Zagadnienie rzeczywistości czasu i przestrzeni nie było w czasach św. Tomasza wyraźnie stawiane. Zagadnienia też się rodzą, dojrzewają i starzeją się, nie są wieczne, chociaż niektóre są odwieczne. Nie miał też św. Tomasz tych pomocy, jakie myśły zdobyli w postaci geometrii nieeuklidesowej i fizycznej teorii względności. W tych warunkach nie możemy się spodziewać, żebyśmy mogli u niego znaleźć rozstrzygnięcia jasne i wyraźne — na zagadnienia, których jeszcze wtedy nie było; doszukamy się co najwyżej jakichś zamglonych wskazówek — tu jest źródło przewlekłych na ten temat dyskusji między nowożytnymi tomistami.

Jednakże, za Arystotelesem, św. Tomasz niejednokrotnie podkreśla, że ponieważ czas jest miarą zmian, a nie samymi zmianami, więc dla „istnienia“ czasu potrzebna jest jakaś istota rozumna, która by zmiany mierzyła: gdyby istniał zmienny świat, ale nie było by żadnej istoty rozumnej, mierzącej te zachodzące zmiany, toby i czasu nie było. Te uwagi naprowadzają nas na poważne przypuszczenia, że na pytanie wyraźne, czy czas jest czymś rzeczywistym, św. Tomasz odpowiedziałby w swojej terminologii, że **czas jest przedmiotem nierzeczywistym, mającym podstawę rzeczową (ens ratio-nis cum fundamēto in re):** czas jest konstrukcją pojęciową, wytworzona ze względu na dostrzegane rzeczywiste zmiany — właśnie dla mierzenia tych zmian. Podobne uwagi nasuwają się mu na temat tomistycznej koncepcji przez przestrzeń, bo i tam występuje mierzenie (dimensio).

A że nie są czas i przestrzeń dla św. Tomasza ani sztywnymi formami naszego myślenia, ani wszystkim obejmującymi żywiołami, świadczy o tym swoboda, z jaką ogranicza stosowalność tych pojęć tylko do pewnego wydzielonego zbioru przedmiotów rzeczywistych — istnieją pewne inne przedmioty rzeczywiste, względem których pojęcia czasu i przestrzeni nie mogą być z sensem stosowane.

Obok trwania czasowego św. Tomasz mówi o trwaniu wiecznym (aeternitas) i trwaniu wiecznym (aeviternitas). Wieczność, jest to trwanie zupełnie niezmiennic; będąc poza „rozcągłością czasową“, da się wieczność przyrównać raczej do punktu niż do nieskończonego odcinka czasowego, św. Tomasz z upodobaniem powtarza określenie Boecjusza: „Wieczność jest to nieskończonego życia całe zaraz i doskonałe posiadanie“. Wieczystość jest bliższa czasowi, bo polega ona na trwaniu, mającym początek, chociaż nie mającym końca, czyli przedmiot wieczny po zoistnieniu już się substancjonalnie nie zmienia, chociaż może się zmieniać przypadłościowo. Wieczny jest Bóg, wieczyste — wszystkie, poza Bogiem, istoty duchowe; czas jest tylko miarą trwania przedmiotów materialnych — względem istot duchowych, poza Bogiem, może być jednak także stosowany; cza-

sowe określenia o Bogu są bezsensowne, lub co najwyżej metaforyczne.

Ścisłe określenia przestrzenne (esse in loco circum — scriptive) stosuje św. Tomasz tylko do przedmiotów materialnych — istoty duchowe, poza Bogiem, ponieważ są w możliwościach swoich ograniczone, dlatego też, o ile ich działalność jest związana z przedmiotami materialnymi, podlegają wtedy pewnym niewyraźnym ograniczeniom przestrzennym (esse in loco definitive) i nie są wszędzie, można wskazać, gdzie ich nie ma, ale nie można wskazać, gdzie są. Bóg jest istotą duchową, nie podlegającą żadnym ograniczeniom; wszelkie zwroty, w których stosujemy do Boga jakies określenia przestrzenne, są albo bezsensowne, albo metaforyczne.

Bóg jest wszędzie — nie dlatego, że rozciągłością swoją obejmuje cały wszechświat materialny — lecz dlatego, że jest istotą nierozciągłą, a zarazem w istocie i potędze swojej jest nieskończony.

Bóg jest wieczny — nie dlatego, że jego istnienie nieskończonym czasem się mierzy — lecz dlatego, że trwa On w sposób nie mierzący się czasem.

Używając analogii geometryczno-przestrzennych, można powiedzieć, że układ istnienia Boga jest zupełnie innym układem od układu czasowo-przestrzennego, w którym żyje człowiek i pozostają przedmioty go otaczające i doświadczalnie przez niego poznawane. — **A obydwaj układy są konstrukcjami pojęciowymi, różnymi, zbudowanymi przez nas dla opisanania różnych rzeczywistości.**

Ks. Jan Salamucha

Walenty Majdański

Rodzina wobec nadchodzącej epoki

Autor popularnego dzieła „Giganci“ w nowej swej pracy porusza najdonioślejsze zagadnienie naszej przyszłości narodowej — problem żyjącej zgodnie z naturą i obdarzonej licznym potomstwem rodziny. Rzecz ma znaczenie narodowe, nadaje się do odczytów i przemówień.

Nabyć można:

Księża Pallotyni, Suchary,
p. Nakło nad Notecią.

PKO. Bydgoszcz VI—310.

Cena 60 zł., przy większej ilości (od 100 egz. 30 proc. rabatu).

VIII.

Dzień był jak zwykle mroźny, wyrzała słońca kula — i gołąb, miejski biedak, swe skrzydła już rozstula, dzień następny rozpoczął się tymi gołębiami.

Przed oknem usiadł jeden, a drugi za nim śmieiej spadł na blachę i skrzydło o gładkie szkło oziębia. Spojrzałeś dzisiaj różniej, może tak rozwesela u okien zamarzniętych ta prośba gołębia.

Sypnałem garstkę chleba, zamknąłem lufoic w górze, spojrzały prosząco: zima ciężka, chleba mało. Ten na lewo pawiooki tak szyjkę wydłużał, że ty oddawna po raz pierwszy się zaśmiałeś.

Chodzący i stukający dziobkami do naszych okien i pewnie nóżki im zmarzły, albo czekanie zbrzydło, bo machnął gołąb pierwszy na pożegnanie skrzydłem, za nim drugi się zerwał, ten właśnie pawiooki.

I nie widziałem u ciebie tak pogodnej twarzy od wielu już miesięcy — uniosłeś lekko głowę: „Tak mi się słodko zdaje, że będę chodził znowu, tak mi się czasem zdaje, że wstanę z tych bandaży.

„Wtedy — mówiłeś dalej — zgasną wojny łaskoty, w małej mieścinie wyjdę przed dom letnim porankiem, wskażę gościowi na ogród przed zielonym gankiem: oto jest moja ojczyzna od płotu do płotu.

„Ten ogród każę otoczyć szpalerem jarzębin, — lubię gdy późnym latem drzewo czerwieni się. Kiedy marzy gołębie tak mi się zdało dzisiaj: z daszkiem zielonym postawię w ogrodzie gołębnik.

„Zwir ścieżek i maliny, jabłonie i gałązki, noc letnia bystro mija, od rosy lśnią powoje. — Spójrz, na stole najwierniejsze przyjaciółki książki, — będzie w wielkiej Polsce taka mała Polska moja.

„I tam codzienna praca ręce moje znów zwiąże, bo już pojąłem, jakże ten trud błogosławiony. — Widzę, smutny kaleka, i dziwnie mi, bo skądże: biegnie dróżką mój synek nigdy nieurodzony.

„Toczy się powoli niedostrzegalne ludzkie szczęście, sąsiad powiada — nuda. — Nie rozumiem sąsiada, jakże może być nuda, jesień drogą przyjedzie i dzień odchodząc w lasy nogą sarenki chrząści.

„Tak mi się dzisiaj zdaje: sąsiad przytaknął głową. Idę ulicą — widzisz ten dom w alei jarzębin, trochę cofnięty, właśnie. Kiedy marzy gołębie, tak mi się dziś wydało, że będę chodził znowu“.

Cóż odpowiedzieć miałem, nie mogłem spojrzeć w oczy, bo się wszystko spletało; ty, gołębie i zima. — I podszedłem do okna — popatrz w błękitnych dymach słońce czerwona kulę nisko nad miastem toczy.

IX.

Szary to był dzień, tak dzisiaj przypominam, mróz zelzał, światło słabe, ciemnowo po kątach, wiatr przerzucał chmur bezszelestną lawinę, aż za miasto, za lasy, to był dzień już piąty.

Gdy staw zarosły nocy swe wieczne wody zmienia, samotnie błaząc wczoraj twój uśmiech się utopił — szarą miałeś twarz, wystygnął jakby popiół, to dzień na ciebie zepchnął chmury swojej cienie.

Milczałeś cały czas i ja milczałem z tobą, tylko ten gwałtowny, niespokojny wiatr, rzucał się aż na ziemię i w ulice się kładł i on jeden, on jeden jęczał za nas obu.

Dopiero późnym wieczorem, przy oknach zasłoniętych, zabłysły twoje źrenice, ale jakós złowieszczo — tylko zmarłych nie ruszaj w swym rachunku, bo jeszcze zbudzisz tak straszne słowo, które i w snach się pamięta.

„Gmach budowałem za życia, a lata cegły znosiły, na wielkich, nieznanych nikomu obszarach mego sumienia, by mieszkało w nim zgodnie to, co się w wielkość zamienia, i aby gmach ten pozostał, gdy runę już do mogiły.

„Jutro być może powiew śmierci me włosy liźnie, a dzisiaj widzę, że gmachu mur się rysuje — o klęsko. i szept straszliwy powraca: oto tak samo jest ciężko i za ojczyznę umierać, podobnie jak przeciw ojczyźnie.

„Jakże ja, budowniczy, dzisiaj mur z murem pogodzę, gdy dmucha wiatr nieznajomy i życie już napół zdmuchnięte. — Wracam ostatkiem sił zarosłą dróżką, pamiętam: księżyc stojący nad wodą, jak zóraw na srebrnej drodze.

Aleksander Rymkiewicz

SIEDEM DNI

(poemat)

Dokończenie

„Że księżyc, jak inwalida, tak się na nodze wspiera, — zaśmiałem się wtedy głośno. Czybyś poznała ty właśnie, gdy we mnie nic nie zostało prócz iskry: ona zgaśnie, czybyś poznała ty dawnych swoich snów bohatera.

„Być może skulony na łożu innym człowiekiem się wyda, a we mnie tamte wspomnienia żal zasypuje i grzebie — i dziwnie dzisiaj się zdaje, że tak żałuję nie siebie, ale księżyc, gdy srebrny nad wodą stał inwalida.

„Życia właściwie już nie ma, serce w piersiach jedynie jakby błądziło, więc staje i znowu rusza, kołaczę, gdy serce zabłądzi zupełnie, to chyba już śmierć oznacza. cóż z tego, że za ojczyznę, gdy i ojczyzna w ruinie“.

„Przestałeś mówić — napróżno, napróżno szukałem słowa, które jak twarda ręka stery spienione bierze, a biały żagiel jeziorem wtedy do brzegu śnieży, gdy sterów szukałem napróżno, by mówić zacząłeś znowu:

„Oto ja mieszkam w wielkich miastach, zabity w świętej sprawie, poznałem, jak mało znaczy życie ludzkie, gdy wojna ogniami aż na niebo bije — i tylko mój los nikomu niepotrzebny wyjdzie nocą, jak wilk, co po starych borach zimą wyje.

„Wiatr na księżycowej polanie śnieg zamiata i dmucha, sypie się igliwo, gdy mróz sosenki przetnie, a któż to stanął ogromny i mojej skargi słucha, to świadek jedyny wilczej doli, świerk stuletni.

„Dziwi się świerk i pyta: skądże ten przybysz tutaj, — aż dąb zimowy się ocknął, zasumiał i spojrzął z podoba — my świerki znaliśmy takich ludzi z olbrzymich miast, lecz oni ciągnęli armaty i ciężko chodzili w hełmach.

„A raz leciały wysoko olbrzymie i ciemne ptaki i ciężko huczały, huczały aż do wieczora stada — i powiedziały nam lecąc stamtąd zposzzone kawki, że na te wielkie miasta grad bomb olbrzymich pada.

„I cóż mój los odpowie, nikomu niepotrzebny, świerk siwobrody czeka wiekiem i mrozem okuty, — że i ja, że i ja mieszkam w wielkich miastach, że i ja kiedyś w hełmie chodziłem tutaj“.

Gdy tego wieczoru, Janku, usnąłeś ogromnie zmęczony, długo leżałem bezsenno, zegar uderzył trzecią, wstałem w ciemnościach z łóżka, zdjąłem z okna zasłony i zobaczyłem, że księżyc po niebie okrągły leci.

Na gładką głowę nacisnął czapkę świecąca lisia. — Gdy księżyc lisia czapkę gdzieś w norze leśnej ukradnie, a potem zimą bezśnieżną w tej czapce nad miastem wisi, oznacza to — przypomniałem — że wkrótce już śnieg upadnie.

X.

Nazajutrz śnieg nie padał, wstałem wczesnie, pusty i chłodny wydał mi się pokój, ty zaś półgłosem rozmawiałeś we śnie, para gołębi chwiała się wysoko, to w dół, to w górę, jak podniebna waga i szare miasto wciąż i ziemia naga. Gołębie spadły, aż przed okno z nieba, mimo że marzyły, nie rzuciłem chleba.

Światło w butelkach blaskiem się zająbia, już nie pomogą, pocóż te lekarstwa, oto została życia tylko garstka.

— A ptakom chleba dać nie miałem siły, chociaż czekał, jakby te gołębie twoim ranom i wojnie zawiniły.

Szarpnąłeś głowę, ruchem tym zbudzony chciałeś coś mówić i zbierałeś siły, a oczy twoje to nie oczy były, ale dwa w twarzy lonty podpalone! „Idą już, idą, idą szeregi, ławą, lawiną, pułki za pułkami, przyszły marszami aż pod miasto nocą i mnie wołają i aż echo toczy. Słyszysz — już patrol przebiegł po chodniku — spójrz — na bagnetach światło nagle zgasło, a tam na rogu bręk powtórzył hasło, znowu mnie wołają: wstawaj poruczniku.

„Już dzisiaj w nocy zdala huk słyszałem, to w borach bliskich artyleria biła — i poprzez nocy czarne, grube kraty czegoś czekałem z twarzą rozpaloną, wtedy wołali: poruczniku do nas. — Więc dawaj mundur i dawaj granaty. Przestańcie wołać. — Zanim głos powtórzą, zbiegnę w ulice z bronią i w mundurze“.

Siadłeś na łóżku straszny, nieprzytomny i jednonogi, z galarecią w płucach, wstać próbowałeś oparty o ścianę. Chwyciłem ciebie i krzyknąłem — Janku! A ty powiałeś wtedy na mnie zbliża, tak jak chorągiew, którą wiatr podrzuca i rwie i szarpie, drzewce już złamane i wiatr chorągiew aż na ziemię ciska.

„Puszczaj — krzyknąłeś — kto mnie trzyma? zdrada! Czołgi jak burza grzmia w bojowym szyku, cegły spadają, łoskot odpowiada — to nasze pułki, wstawaj poruczniku. Puszczaj“ — krzyczałeś i zacząłeś śpiewać pieśń przeraźliwą, w której ludzkie dzieje

straszliwa siła w bojach ciężkich włóczy, to z taką pieśnią śmierć przez ciało wieje, wiatr śmierci tylko takich pieśni uczy, lecz żywy nigdy jej nie zapomni. Pieśń takie ognie wiecznych nocy wróży, że żywy nigdy jej już nie powtórzy.

— Tak ty śpiewałeś straszny, nieprzytomny. I dzisiaj, kiedy ten poemat piszę i się ostatkiem szósty dzień przypominę, zdaje się echo tamtej bitwy słysze.

XI.

Oto dzień nowy po raz siódmy miastem włada, śnieg zaczął padać w nocy. — Spójrz, i dotąd pada. Do kogo mówię? — Janku — przecież ty nie żyjesz, dla kogo więc ta zima śnieżne wianki wieje? Ty leżysz już spokojny w dalekiej zadumie, a ja płakać nad tobą, nad zmarłym nie umiem.

Śnieg pada bezustannie. Dawno już poganiacz trzasnął batem po mieście, cmi z kominów para — i miasto już powoli ciągnie jarzmo swoje, — dla kogo? — samo nie wie, przypomnieć się stara: była Polska, a potem gdzieś dalekie boje i przychodzą pułkami armie coraz nowe — patrzają wieże wysokie, śni góra zamkowa. Czas się toczy, zwycięzcy padają w popiele. O jakież tobie dzieje przyszły dzień rozdzieli?

Ciągnij miasto swe jarzmo, w nocy jeden z wielu umarł, iza niewylana pod rzesą wysycha. Ciągnij miasto swe jarzmo, jedna twoja dola, tak chłop nad pługiem zgięty swą orkę popycha, na konie zawodząc: maluśkie, hejże, hola. — Obok armie przechodzą, chwilę chłop przystanie i splunie w twarde garście i konie pogania.

XII.

Jest w pobliskich górach czołg porzucchoy, zabłądził z szosy tu, w przydrożne osty. Gdy gąsienice nie wypełzły z rowu, wygiął się martwo w górę, tak pozostał i gdzieś wysoko ponad borów głowy w niebo, czy w ptaki lufy wycelował.

Nieraz chłop jadąc batem czołg pokazał i słowa szukał i głowę pokłiwał. Cóż stara, chłopka głowa nieruchliwa, do siebie burknął: ot, kupa żelaza. A czołg swe lufy na niebo zatacza i na pobliskim drzewie wrona kracze.

Dziś bór na lewo, a szosa na prawo, cały świat w śnieżnym pyle gdzieś ucieka — i borem idzie szeroko kurzawa, w śnieżnej mgłę ginie w dole kręta rzeka. — I na pancerze śnieg warstwą się ściele, czołg podniósł lufy i dotąd nie strzela.

Grudzień, 1941 r. — Styczeń, 1942 r.

